

JÓZEF hr. POTOCKI

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z AFRYKI

SOMALI

ILLUSTROWAŁ PIOTR STACHIEWICZ



138315



138315

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF

Z drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie

1897



PHOTOGR. FARBEN-FACSIMILE
V. J. LÖWY, WIEN

1906

Podolski



Somalilandem zwą kraj, leżący na wschodnim wybrzeżu Afryki, który od ujścia rzeki Dżuba zajmując cały tak zwany »róg Afryki«, ciągnie się wzdłuż przylądka Guardafui na północ aż do dzielnic abisyńskich, wewnątrz kontynentu zaś aż do rzeki Webi Shebeli, która stanowi jego południową naturalną granicę.

Regio aromatifera w języku starożytnych, po arabsku Bar-Ajam, czyli »kraj nieznamy«, zaludniony przez dzikie hordy barbarzyńskich szczepów koczowniczych, które zagładą groziły śmiałkom, chcącym dotrzeć do jego wnętrza, — Somaliland uchodził długo za kraj wręcz niedostępny i niezbadany, i znaczone go białą plamą na karcie ogromu Czarnego Łądu.

Jednym z pierwszych i jedynym Europejczykiem, który w dawniejszych czasach w ziemi Somali podróżował, był sir F. Burton, autor znanego dzieła: *First Footsteps in East-Africa*, streszczającego przygody owej śmiałej wyprawy. Było to w szóstym dziesiątku lat bieżącego stulecia. Po nim próbowało kilku — jak Speke, Hildebrandt, Menges, znany handlarz zwierząt — dotrzeć do wnętrza Somalilandu, lecz napróżno: albo zmuszeni byli wracać, albo życiem przypłacali swe śmiałe zabiegi. Niedawno, bo w roku 1883, Włoch Zaccone padł pod ciosami krajowców na samym początku swej wyprawy, niedaleko od morskiego wybrzeża.



Farfanier.

17-go stycznia.

Trzecią noc spędzam w Somalilandzie pod gołym niebem, na zasadzce, przy ośle. Lew, niestety, znów zawiódł nadzieje i nie pokazał się. Hyeny tylko i szakale oblatywały osła wokoło, lecz się do niego zbliżyć nie śmiały. Wstrętne trupiarki wołały padło i nie mają odwagi rzucić się na osła, który dzielnie się im bronić potrafi.

Alikhar rozesał rankiem ludzi na zwiady w rozmaitych kierunkach, na wschód i południe, do okolicznych osad, nad jeziorkami położonych.

Nastały znowu długie godziny wyczekiwania w obozie na wiadomości o najgrubszej zwierzynie. Rosną one w ustach krajowców w stosunku prostym do odległości, z której pochodzą: w Darror mówiono, że w Farfanier zwierzyny jak prochu, a tu już mniej o niej słyhać.

Po południu wszakże wpadł konny posłaniec z okolic Hodaju z nowiną, pochodzącą od naszych ludzi, wysłanych tam dziś rano, że lew zagryzł w dżungli konia i że zeriba, przy padle naprędce zbudowana, oczekuje jednego z myśliwych.

Podobna wiadomość działa zawsze jak iskra elektryczna, nietylko na nas, lecz i na naszych ludzi, leniwie drzemiących wkoło taboru podczas długich godzin bezczynności.

Odrazu powstaje w obozie ruch i gwar, służba przygotowuje broń, saisy siodłają konie, każdy coś radzi i pomaga, a wszystko to przy akompaniamencie ogłuszającego szwargotu i wrzawy.

Los padł na Grudzińskiego; wybiera się śpiesznie, bo do Hodaju daleko, 4 godziny marszu, a przed zachodem słońca na miejscu być musi. Zabiera z sobą, oprócz małego zapasu prowizyi i dwóch butelek Apollinaris'a, nasze serdeczne »szczęść Boże« łowieckie na daleką wyprawę.

Sam wybrałem się pod wieczór na przechadzkę po dżungli. Okolica tu, podobnie jak w Darror, ludna, pełna czasowych osad z nienukionem stadami wielbłądów i owiec. Wszystko się w tym kraju reguluje podług wody: gdzie woda, tam ludzie, którzy znikają, gdy jej nie stanie.

Jak wyżej wspomniałem, jest w okolicy pięć stawków, z których pierwszy znajduje się właśnie opodal naszego obozu, reszta w kierunku południowym, w odstępach paromilowych jeden od drugiego. Doszedłem do takiego jeziorka, któreby się u nas moczarkiem zwało, i zastałem wkoło niego mnóstwo ptaków wodnych, rozsiadłych po brzegach lub pływających po zgnilej wodzie. Prócz zwyczajnych bocianów, rozpoznałem dwa gatunki czapli, kuliki, szcudlaki, podobne do cejlońskich (*Himantopus candidus*), kaczki, wreszcie dziwną gęś jakąś, podobną z kształtów do naszej dzikiej gęsi, jaskrawo upierzona, z lotkami czarno-białymi. Było ich cztery; jedna się zerwała i, ku wielkiemu memu zdziwieniu, usiadła na konarze drzewa uszłego (*Anser aegyptiaca*? — o której Brehm wspomina, że na drzewach gnieździć się lubi).

Czy mój śrut za cienki, czy za daleko strzelałem, dość, że nie zdołałem żadnej podnieść, choć widziałem, jak dwie postrzelone spadły w zarośla. Ubiłem tylko dwie kaczki, do krzyżówek podobne, z dzióbem spłaszczonym, łyżkowatym (*Anas flavirostris*). Wielka szkoda, że niema taksydermisty!

18-go stycznia.

Ponownie przesiedziałem noc w zeribie *par acquit de conscience*; lecz osieł znów swą skórę uratował.

Ludzie nasi, wysłani na zwiady w kierunku południowym, powrócili dziś rano i raportują, że przy ostatnim, najgłębiej w dżunglę wysuniętym stawku, widzieli świeże tropy słońi.

Zwijamy obóz i przenosimy go o 8 mil dalej na południe, do miejscowości, zwanej Gembesi. Sam zaś poszedłem zrekonoskować owo jezioro, nad którym ślady słońi widoczne być mają. Jest ono ostatniem w rzędzie owych pięciu stawków i służy istotnie słońiom za wodopój, bo tropów moc przy brzegu i naokoło formalne ścieżki, wydeptane przez pachydermy. Z ubiegłej nocy jednak śladów nie było, co zdaje się potwierdzać zdanie krajowców, że słońie tylko co drugą noc do wodopoju przychodzą. Jest zatem nadzieja na dzień jutrzejszy.

Zdaje się, doszliśmy nareszcie do dobrych rewirów najgrubszego zwierza; nie brak też wokoło mnogich śladów nosorożców.

Żaden «biały» tu przed nami nie polował i, jak nasi ludzie twierdzą, tylko kilku Europejczyków te strony Somalilandu odwiedziło, i to przemarszem tylko, w celach eksploracyjnych lub kartograficznych.

Dzięki szczęśliwej okoliczności, że w stawkach w tym roku, wskutek obfitszych niż zazwyczaj deszczów, woda dłużej się ostała, będziemy mogli kilka tygodni w tych regionach zabawić.

Przed namiotem mamy znów jedno z licznych jezior, a na niem stadka plu-skających się kaczek i kulików, żywą spiżarnię, z której w każdym czasie na obiad pieczone brać można. Ubite wczoraj krzyżówki okazały się bardzo smaczne, i dziś znowu dwie zabiłem. Owych pstrych gęsi tylko dostać nie mogę.

Ogromne stada ślicznych pentarek niebieskich (*Numida vulturina*) i liczne antylopiki dik-dik zamieszkują okoliczną dżunglę; obawiamy się jednak za często strzelać, by czujnych na wszelki huk gruboskórców z okolicy nie wypłoszyć. Drobną zwierzyną w tych stronach do tego stopnia z ludźmi i hukiem strzelby jest nieobeznana, że się wcale ludzi nie boi i swobodnie pośród nich porusza; kaczki po strzałach się zrywają i, okrążywszy parę razy stawek, napowrót najspokojniej zapadają, gołębie zaś i turkawki, których tu mnóstwo, kuliki i perliczki na parę kroków do siebie podejść dają i między ludźmi się kręcą.

Kilku Ogadeńców, przybyłych po wodę z głębi dżungli, opowiada, że w pobliżu ich osady, o parę godzin marszu oddalonej, lew «man-eater» stał się postrachem okolicy i kilkunastu ludzi miało już paść ofiarą krwiożerczej bestyi.

Jak między tygrysami w Indyach, tak i między lwami mają się zjawiać niekiedy t. zw. ludożercy. Biada okolicy, którą «man-eater» za swój rewir obierze! Lew, na ludzkim mięsie rozżarty, innem pogardza i ofiary nieraz w biały dzień z całej gromady porywa i do dżungli unosi. Polowanie nań trudne: krajowcy, w dzidy tylko uzbrojeni, podołać mu nie mogą, na żywą przynętę, lub do padła ściągnąć się nie dają, ludzi się nie obawia, a przytem czujny i ostrożny, obiera swe legowisko w najciemniejszym gąszczu, dokąd dostęp trudny, lub wręcz niemożliwy.

Obiecujemy krajowcom nagrody za bliższe informacye o tym lwie ludożercy.

Grudziński nie powrócił; dochodzą wieści, że ubiegłej nocy słyszano strzał z jego zeriby. Posyłamy mu butelkę Apollinaris'a i kaczkę pieczoną, w mniemaniu, iż zamierza tam jeszcze dzień jeden pozostać i ponownie szczęścia w zeribie próbować.

Pod wieczór, w przechadzce po dżungli, zabiłem pod samym obozem antylopcę dik-dik i cztery perliczki odmiennego gatunku od spotkanych w Aware (*Numida cristata*).

Cały szereg zdarzeń!

19-go stycznia.

Legliśmy na spoczynek, gdy daną znać przed północą, że zaraz z wieczora duże stado słoni przyszło do wodopoju, około którego byliśmy wczoraj, i zaspokoiwszy pragnienie, do dżungli się cofnęło.

Wschodzące słońce zastało nas dwóch już przy stawku, nad którym, jak dołki w błocie wyciśnięte, znać było świeże tropy olbrzymich gruboskórców. Puściliśmy się za śladem gęsiego. Zamoyski szedł pierwszy za przewodnikiem, za nim jego ludzie, ja, w końcu Alikhar, który w ważnych chwilach zawsze nam towarzyszy.

Nagle Zamoyski wyrwał gruby sztuciec z ręki shikariego: monstrualne kształty nosorożca mignęły w zaroślach. Strzelił dwa razy, lecz chybił w pośpiechu na kroków około 60-u.

Pierwszy raz w życiu widziałem dziś nosorożca.

Po tym dość emocjonującym wypadku, podjęliśmy znowu ślad słoni. Miały one znaczny awans przed nami; stado rozdzieliło się w kilku kierunkach. Teren miejscami skalisty i gęszcz ciemny utrudniał tropienie. Dżungla, zwarta jak ściana, coraz gęstsza; rozrzucone między krzewami mimozy i taniiny, liczne drzewa mleczone o fantastycznie pokręconych konarach, utrudniają przejście; powalone pnie i potrzaskane konary markują przesmyki gruboskórców, jedyne ścieżki, którymi w tej kniei dziewiczej posuwać się można.

Po pięciu godzinach marszu doszliśmy do słoni. Przodem idący Somalis posyłał szmer, od nich pochodzący, o kilkadziesiąt kroków przed nami, głos do chrapania lub wciągania trąbą powietrza podobny. Niestety, wiatr mieliśmy niepomyślny, i tej nader ważnej w polowaniu na słonie okoliczności przypisać muszę, żeśmy do słoni na strzał zbliżyć się nie zdołali: zwietrzyły nas i prysnęły.

Były tylko dwie grube sztuki; jedną widziałem dosyć wyraźnie, jak nastawiła olbrzymie uszy, niby żagle, i klusem umknęła; druga uszła, gęszczem zupełnie zakryta. Zamoyski też pierwszą zoczył, lecz widząc tylko zad i tył łba, strzału nie ryzykował.

Przygnębieni nieco na duchu niefortunnym rezultatem pierwszego w Afryce ze słoniami spotkania, zawróciliśmy z powrotem do obozu.

Winy nie było niczyjej; chyba może nasi przewodnicy nieco za ostro i gorąco zbliżali się do słoni, nie zważając dostatecznie na kierunek wiatru. Przypominam sobie podobne chwile na Cejlonie i miarkuję, że Syngalezi z większą wprawą i ostrożniej do zwierza podprowadzać umieją, będąc widocznie bardziej wyćwiczeni w tym rodzaju łowiectwa.

Powróciliśmy do obozu wieczorem, po 13-tu godzinach marszu, przerwane go tylko krótką siestą i skromną przekąską, z kilku sucharków i butelki Apollinaris'a złożonej.

Przed namiotem zastaliśmy Grudzińskiego nad świeżo rozciągniętą skórą pysznej lwicy, którą wczorajszej nocy ubił z zeriby. Opowiada, że dwa lwy okrążyły zeribę, lecz po strzale do pierwszego, drugi się nie zbliżył. Cały dzień następny polował na niego, prawdopodobnie małżonka ubitej lwicy. Dzięki otwartej okolicy, doszedł go po tropie. Pięć razy konni Somalisi go osaczyli w zaroślach, lecz za każdym razem pomykał w takim gęszczu, że na cel wziąć go nie zdołał; przytem niesforna horda dzikich Oga-

deńców przyłączyła się do orszaku naszego towarzysza, i niby w chęci pomocy, tak psuła polowanie i ustawiała się zawsze naokoło miejsca, gdzie lew się przyczaił, że odstraszała zwierza niepotrzebnymi krzykami i przeszkadzała w strzale myśliwemu.



Z okolic Hajdoko.

23-go stycznia.

Opuściliśmy od czterech dni Gembesi i z małą częścią taboru, kilku wielbłądami, oraz nieodzownym zapasem prowiantu i wody, przenieśliśmy się w głąb dżungli, w samo serce najdzikszych ostępów, ulubionych rewirów nosorożców i słoni.

Rozłożenie się obozem w środku maceczników zwierza bardzo ułatwia polowanie, bo się nie traci czasu na długie marsze od i do obozu.

Otacza nas bezgraniczny przestwór dziewiczej kniei, nie ruszonej dotychczas stopą europejskiego myśliwego. Opodal namiotów krzyżują się w czerwonym piasku mnogie tropy nosorożców, ślady przechodu słoni, widoczne na strzaskanych pniach i wyrwanych konarach drzew mlecznych.

Obóz nasz, maleńki w porównaniu do zwyczajnego taboru, rozbity na niewielkiej polance, okolonej pierścieniem ciemnej dżungli. Bydło tu nie dochodzi, krajowcy unikają głuszy nieprzebytej, ludzkiej osady niema na dziesiątki mil wokoło, jeden pachyderma tu gospodarzem i panem wszechwładnym tych ostępów.



MOJ PIERWSZY NOSOROŻEC.

Pierwszy dzień minął bez szczególnych wydarzeń. Chodziłem dzień cały za świeżymi śladami nosorożców; doszedłem do jednego, lecz prysnął przede mną w takim gąszczu, że go dojrzeć nie zdołałem.

Nazajutrz wybrałem się znowu o świcie na cały dzień do dżungli. Podjąwszy świeży trop nosorożca, zaraz po wschodzie słońca, szedłem za nim, z wyjątkiem półgodzinnej siesty, do 3-ej po południu. Wówczas Osman, przodem idący, przystanął i wskazując słońce, chylące się ku zachodowi, zapytał, czy nie czas wracać. Odrzekłem, że jeszcze pół godziny poszukamy, a potem odwrót. Nie dopowiedziałem ostatniego wyrazu, gdy ujrzałem nagle przed sobą sunące się w wysokiej trawie i zaroślach kształty ogromnego nosorożca. Nim sztuciec porwać zdołałem z rąk Osmana i kurek naciągnąć, pół zwierza zniknęło w gąszczu za drzewami; strzeliłem dwa razy, zwierz pomknął w susach, za nim druga sztuka mignęła — i tyle ich widziałem. Chybiłem; snadź kule ugrzęzły w konarach drzewa, zakrywającego mi zwierzę. Kropli farby nie znalazłem.

Nieco upadły na duchu, wróciłem dnia tego do obozu; moi towarzysze też z próżnemi rękoma powrócili, nie spotkawszy wcale zwierzyzny.

Nosorożców jest tu dosyć, ale w stosunku do ogromnego obszaru, w którym się poruszają, nie jest ich gęsto. Tropienie na gruncie, często twardym jak skała, nieraz wręcz kamiennym, nadzwyczaj jest mozolne i wymaga wiele czasu, trudu, a przede wszystkim wytrwałej cierpliwości. Tropy dawne i świeże krzyżują się, zbiegają, znów rozchodzą, gąszcz zwarty jak ściana, w nim niiby tunele przebite, w których chodzenie nużące, a praca tropiciela niezmiernie trudna.

Mój Osman celuje w tym rodzaju polowania, posiada szczególnie jedną ważną zaletę, że się nigdy nie gorączkuje i w fałszywym kierunku nie zapędzi. Nieraz przystanie, stoi kwadras na jednym miejscu, bada ślady i najdrobniejszy szczegół terenu, kierunek wiatru, rozgląda się po okolicy i t. p., nim dalej się zapuści.

W tych stronach Somalilandu, w gęstej kuiei, jest to rodzaj polowania najtrudniejszy, jaki znam, a może i najbardziej nużący z tego powodu, że najlepszą porą dnia do śledzenia za zwierzem są godziny południowego skwaru, gdy nosorożce odpoczywają w cieniu drzewa i najłatwiej do siebie podejść dają. Całą noc i część ranka snują się te potwory po dżungli, odwiedzając wodopój i szukając skąpego żeru, jakiego im mizerna o tej porze dżungla dostarczyć może. Dopiero koło 10-ej układają się do snu w cieniu wyższego krzewu lub drzewa mlecznego i śpią do wieczora. Krajowcy twierdzą, że nosorożec całe tygodnie, a nawet miesiące, wytrzymuje bez wody, żując natomiast mięsiste liście jakiegoś ogromnego kaktusa, który w dżungli rośnie w wielkiej obfitości i ma w sobie wilgoć przechowywać.

Idąc za śladem, należy być ciągle gotowym do strzału, bo niewiadomo, czy zwierza dojdzie się po kilku krokach, czy po całodziennym marszu; zależy to od szczęścia, a raczej miejsca, gdzie się przypadkowo trop podjęło, a wszędzie po dżungli na

zwierza natknąć się można. Przytem chodzi się cicho, ostrożnie, zważając nietylko pod nogi, lecz i na kolce wokoło, między którymi, jak piskorz, wykręcać się trzeba, by w straszliwych szponach tych krzewów nie pokaleczyć się, lub części ubrania nie zostawić.

Trzeciego dnia nareszcie św. Hubert wynagrodził wytrwałość. Podjąwszy o świcie świeży trop, doszedłem do zwierza po dwóch godzinach marszu. Osman usłyszał pierwszy chrapliwe sapanie w krzakach przed nami; miałem czas się przygotować i wychyliwszy się ostrożnie z ukrycia, ujrzałem nosorożca, stojącego *en trois quarts* o kroków 40, ze łbem podniesionym, jakby już wietrzył niebezpieczeństwo. Spokojnie wycelowałem za ucho i dałem ognia. Dym mnie zaszedł — druga sztuka, której poprzednio nie zoczyłem, z łomotem rzuciła się do ucieczki, ta zaś, do której strzelałem, runęła w ogniu na miejscu. Legł zwierz z kulą za uchem, niby potwór przedpotopowy.

Trudno sobie wystawić coś mniej w kształtach estetycznego, cięższego, nieforemniejszego, niż nosorożec, a przecież ten wygląd antydyluwialny, jakby zabytku wymarłej fauny z ubiegłych epok stworzenia, nadaje mu właśnie znamię rzadkiej i pysznej zdobyczy myśliwskiej.

Nosorożec Somalilandu (*Rhinoceros bicornis Somaliensis*) ma dwa rogi frontowe, podobny jest zupełnie do swego centralno-afrykańskiego krewniaka, różni się zaś znacznie od nosorożca indyjskiego, który tylko jeden róg posiada. Dziwną jest właściwością tego rogu, że nie wyrasta z kości, lecz na skórze jest nasadzony, i zwierz może nim dowolnie poruszać.

Pierwszy okaz nosorożca w Somalilandzie był ubity przez Anglika Swayne'a w r. 1892 i uznany za *varietas* odrębną od środkowo-afrykańskich.

Moi towarzysze, niestety, dziś znowu nie mieli spotkania, i choć śledzili dzień cały za świeżymi tropami, do zwierza dojść nie zdołali.

Czwarty i ostatni dzień pobytu w tym rewirze gruboskórców obdarzył nas żywą zdobyczą, jakiej zaiste osiąść się nie spodziewałem. Wyszędłem rankiem jak zwykle, i podjąłem nocny trop grubej sztuki niedaleko padła ubitego wczoraj nosorożca. Zwierz jakby z umysłu wybierał ciągle teren skalisty i tłukł się w nieskończonych zygzakach w gęszczu najciemniejszym. Minęło południe, przerwane króciutkim odpoczynkiem, odświeżonym haustem wody. Osman dalej w pocie czoła pracował, śledząc trop, gdy około godziny 3-ej doszliśmy do miejsca w cieniu mimiozy, gdzie ku niemałemu memu zdziwieniu zoczyłem świeżutkie oznaki, że młody nosorożec przed chwilą tu świat Boży ujrzeć musiał, położnica zatem nie mogła być daleko. Jakoż po chwili usłyszałem charakterystyczne chrapanie, jakie ten zwierz oddychając wydaje.

O kilkanaście kroków przed nami stało drzewo ze spuszczoneymi do ziemi konarami, w podszyciu trawy i haszczów. Tam stał nosorożec. Osman bardziej go odgadawał, niż widział, i szeptem mię namawiał, bym strzelił, lecz niestety, ja go dojrzeć, a zatem i strzelić nie mogłem.



W DZUNGLI.

Wtem ruszyło się coś pod drzewem, zoczyłem jakby szary cień w ciemnym gąszczu, i ulegając natarczywym namowom Osmana, który się niezmiernie niepokoić począł, strzeliłem, lecz sam nie wiem do jakiej części ciała zwierzęcia.

Po strzale powstał straszliwy łomot, nosorożec mignął mi w zaroślach. Wypaliłem drugi raz.. Nastąpiła cisza, w której doleciał nas kwik małego nosorożątka, porzuconego przez matkę pod drzewem. Małe biedactwo piszczało żałośnie, cisnęło się pod nogi i garnęło do ręki, nie rozpoznając jeszcze przedmiotów. Gdyśmy odeszli parę kroków, poczęło biedz za nami, szturkając nieforemny łebkiem przodem idącego człowieka, jak gdyby go za matkę biorąc. Mimo długiego marszu powrotnego do obozu, trzymało się nas wytrwale i doszło z nami do namiotów, a widok powracających z dżungli myśliwych z biegnącym za nimi żywym nosorożcem, do jedynych chyba łowieckich obrazków zaliczyć można. Mały nosorożec stał się odrazu faworytem naszych ludzi; powierzyłem go specjalnie opiece Fereka.

Grudziński miał dnia dzisiejszego też emocjonujące spotkanie z nosorożcem. Doszli go stojącego w krzaku i w chwili, gdy przodem idący shikari go zoczył, zwierzę jak kula wyskoczył i wprost na nich uderzył; zaledwie mieli czas ustąpić się przed szarżującą bestią, a gdy Grudziński zebrał się do strzału, zwierzę już był znikł w zaroślach.

Nosorożec niestrzelany — rzadko, raniony zaś zwykle uderza na ludzi; stojąc nieruchomie w gąszczu, wysłuchuje, skąd szmer kroków się zbliża, i szarżuje jak kula, t. j. zawsze wprost przed siebie. Ponieważ nie jest obrotnym, trudno mu zmienić kierunku, w którym raz się puścił, i dlatego względnie łatwo mu się ustąpić, o ile gąszcz nie zawadzi i przytomność umysłu dopomoże. Ta ostatnia w połączeniu z zimną krwią okaże się nieraz potrzebną przy spotkaniu z nosorożcami. Nawet celny strzał nie zawsze tu wyratuje, bo nader szczęśliwej trzeba kuli, by szarżującego na sztych nosorożca w ogniu zatrzymać. Uderza on zawsze ze łbem ku ziemi spuszczone, z rogiem naprzód wysuniętym, zasłaniającym front czaszki i przód ciała. Wogóle zwierzę to nietylko niebezpieczny sam z siebie, ile warunki, w których go się spotyka, mogą dla myśliwego stać się zgubnymi, t. j. gąszcz kolczasty, w którym się na krok nieraz ruszyć niemożna, i utrata zimnej krwi w danej chwili ataku, co sprawić może, iż człowiek, zamiast się usunąć, wprost pod nogi zwierzęcia podleci.

W obozie zastałem wieści, przyniesione przez ludzi z naszej karawany z Gembesi, gdzie główny tabor pozostał, że ubiegłej nocy słyszano kilka lwów, odzywających się nad jeziorkiem, tudzież, że słonie zmieniły wodopój i ze stawku pod obozem wczoraj w nocy wodę piły. Alikhar śpiesznie udał się do Gembesi, by się o słoniach dowiedzieć i budowę zerib na nocną zasadzkę zarządzić.

24-go stycznia.

Opuściliśmy dziś rano te strony zapadłe, z zamiarem powrotu do Gembesi, gdy wyprzedzając karawanę, usłyszeliśmy w przejściu koło miejsca, gdzie leży padło ubitego onegdaj nosorożca, potężny ryk dwóch lwów, zajętych widocznie przy ścierwie. Sępy obsiadły okoliczne drzewa, od uczy spłoszone, nie śmiejąc się zbliżyć — najlepszy dowód, że lew przy mięsie.

Mówią, że lew obserwuje sępy i ich lotem się kieruje, bo nie obdarzony węchem, nie trafi do padła, chyba go przypadek naprowadzi. Dziwnem jest zjawisko, które często obserwowałem, jak szybko sępy i orły zbierają się przy ubitem w dżungli zwierzęciu. Zdawałoby się, że przedtem żadnego na horyzoncie nie było, nie minie zaś kilka minut, a już skądś się biorą. W powietrzu krążą bardzo wysoko, potem coraz więcej ich się zbiera, powoli zniżać się poczynają i zapadają obok ubitej sztuki na ziemi lub drzewach, wyczekując, by się człowiek oddalił.

Ze sztucem w rękę, z naciągniętymi kurkami, zbliżyliśmy się ostrożnie do ścierwa, lecz lwów już nie było: snadź usłyszały nasze kroki i do dżungli się cofnęły. Postanowiłem naprędce zeribę przy nosorożcu zbudować, cały dzień w dżungli przeczekać i w nocy, korzystając z kolejki, która na mnie wypadła, na zasadzkę zasiąść.

Moi towarzysze pociągnęli z karawaną do Gembesi. Zostałem sam jeden w ciemnej kniei z dwoma mymi shikarami, zajętymi budową zeriby, i ułożywszy się wygodnie w cieniu drzewa mlecznego, użyłem miłego wypoczynku po pięciu dniach nużących pochodów za nosorożcami. Przed wieczorem przyniesiono mi przekąskę z obozu, oraz wiadomość, że także dla mych towarzyszy dwie zeriby na dzisiejszą noc opodal jeziora w Gembesi zbudowano.

Przed zachodem słońca wsunąłem się do zeriby, ustawionej tuż pod olbrzymiem, rozkładającym się już cielskiem nosorożca, wydającym odor nieznośny, którego nawet w nos zatkana wata karbolowa zagłuszyć nie zdołała.

Dwie noce spędziłem w tem niemiłym sąsiedztwie, jednakże pomijając tę odwrotną stronę zasadzek przy padle, wyznać muszę, że obie noce, choć lwa podczas nich nie zabiłem, a nawet nie widziałem, gdyż do zeriby się nie zbliżył, przysporzyły emocyi i wrażeń podostatkiem. Trudno (a dla mnie wręcz niemożliwem) jest oddać należycie i malowniczo opisać wszystko, co się słyszy, widzi lub doznaje, tysiące drobnych szczegółów ciekawych, których całość tworzy obraz nocy afrykańskiej, oświetlonej srebrnym światłem wschodzącego księżyca, w bezpośrednim zbliżeniu się do zwierza najgrubszego, w otoczeniu dziewiczej przyrody, w pustkowiu najdzikszego ostępu — trzeba to wszystko samemu widzieć, odczuć i doznać.





Ledwo słońce zajdzie, miliardy much brzęczących nad padłem zginą gdzieś w zaroślach i cienie nocy ogarną przestwór nieba i ziemi, — zjawiają się hyeny i rozpoczynają swe harce wkoło mięsa; oblatują je dokoła, to która dopadnie do ścierwa, porwie kawałek mięsa i w krzaki uniesie, to kość szarpnie i znowu powróci; coraz ich więcej się zbiera, ocierają się o ścianę zeriby, aż dreszczem przejmuje, a wstrętne ich głosy, do żalostnego jęku, to do szyderczego śmiechu ludzkiego podobne, rozlegają się złowrogo w ciszy nocnej i potęgują wrażenie mimowolnej grozy, której się oprzeć niepodobna.

Panowanie hyen trupiarek trwa póty, dopóki groźniejszy współzawodnik się nie pokaże. Jest nim lampart. Odzywa się zdaleka, słychać, jak ostrożnie przez krzaki się przesuwa, potem kilka grubych ryków urwanych — i jednym susem już jest na mięsie i pożerać je zaczyna. Hyeny tymczasem cofnęły się o kilka kroków, łakomie spoglądają zielonemi oczyma na smaczny kąsek, jednak przystąpić nie śmieją. Wtem lampart poczyna dawać znaki niepokoju, przestaje żreć, spoziera lękliwie w czarną głąb dżungli, to ziów z jedzeniem śpieszyć się zdaje, jakby chciał czempredzej głód zaspokoić.. Hen, zdaleka dolatuje jakby głębokie westchnienie, ryk niby żalostny, przeciągły — to lew, król pustyni, się zbliża!

Czasem załomocze coś ciężko w gałęziach i lucząc a sapiąc w gąszczu się przesunie — to nosorożec snuje się po dżungli, żeru szukając.

I tak mijają godziny wśród nerwy natężającej emocyi, sen odlatuje od powiek, ucho stara się wsłuchać w nieznanne głosy natury, oko usiłuje przebić czarną zasłonę tajemniczej dżungli. Ani się spostrzeżesz, jak gwiazdy blednąc poczynają, świt różowy zwiastuje rodzący się dzień Boży — czas wychodzić z zeriby. Pozostaje tylko w sercu myśliwskim wspomnienie cudnej nocy podzwrotnikowej, spędzonej w afrykańskiej głąsży.

Pierwszej nocy zjawił się lampart około godziny 10-tej, słysząc jednak zdaleka głosy lwa, który wciąż mą zeribę okrążał, nie strzelałem, by grubszego zwierza nie odstraszyć. Dopiero gdy minęła północ, i lew się nie zbliżył, a lampart wciąż do padła wracał, przypomniałem sobie przysłowie o kanarku i wróblu, i zabiłem lamparta.

Z ładną zdobyczą pośpieszyłem do obozu, o trzy godziny marszu oddalonego, i zastałem Zamoyskiego pod wrażeniem niezwykłego widoku, którego na zasadzce w nocy był świadkiem. Stado słoni, z 8 sztuk złożone, przyszło do wodopoju i o kroków 40 od Zamoyskiego wlaży do stawku i kawał czasu w nim przebyły, dając myśliwemu sposobność obserwowania swych ruchów i ciekawych w wodzie ewolucyi. Nie strzelał, bo po ciemku nie był pewien kuli, zresztą shikari go zaklinał, by strzału zaniechał, gdyż w mniemaniu Somalisów, którzy się panicznie słoni boją, te zawsze w nocy na strzał szarżują i mogłyby zmiażdżyć zeribę.

Słonie są zapewne te same, które śledziliśmy w zeszłym tygodniu i które zmieniliśmy tylko miejsce wodopoju, z okolicy się nie wyniosły. Na dziś je tropić za późno; odkładamy to do przyszłych ich odwiedzin, których pewni być możemy.

Druga noc, przy padle nosorożca spędzona, dostarczyła mi mniej więcej tych samych wrażeń co pierwsza, z tą między innymi różnicą, że ścierwo cuchnęło tak okropnie, iż ledwo wysiedzieć zdołałem. Ku większej przynęcie był też osieł, przywiązany przy okienku zeriby, lecz desperat jakiś nie chciał się z losem pogodzić, rwał się, szarpał, szamotał i bił nogami, aż zeriba trzeszczała. Nie robiło to jednak wrażenia na hyenach, które jak zwykle wcześniej do uczty się stawiły; po nich przyszedł znów lampart, lecz wystraszona osła nie zaczepił, tylko kiedy niekiedy zęby nań wyszczerzał. Zabiłem go w końcu, lwa się nie doczekawszy; okrażał on zeribę, słyszałem go o północy, lecz czy najedzony, czy zdradzony, zbliżyć się nie raczył. Nosorożec znów, hucząc, jak lokomotywa, przemknął koło zeriby; widać go było wyraźnie na ciemnym tle gąszczu w bladym świetle księżyca. Zmieniłem kulę ołowianą na stalową i wziąłem go na cel, gdy osieł ogonem mi lufę potracił i zepsuł sposobność do strzału. Ze skórą drugiego lamparta, niezwykle dużą i ładnie znaczoną, powróciłem do Gembesi, gdzie mnóstwo nowości zastałem.

Grudziński chybił w nocy do lamparta, Zamoyski zaś widział lwa z zeriby, który do osła się zbliżył, szarżował nań dwukrotnie, lecz trafiwszy na silny opór męznego osiołka, odstąpił od przynęty, przeczuwając może podstęp lub niebezpieczeństwo. Zamoyski, choć wyraźnie lwa widział, nie strzelał, czekając, co zresztą jest regułą, by lew osła zagryzł i do jedzenia się zabrał.

Dziwnem się wydawać może podobne tchórzostwo u mocarza zwierząt; ja sędzę, że to raczej dowód przebiegłej ostrożności z jego strony, iż więcej udawał szarżę, niż ją wykonywał, a zoczywszy ludzi w zerobie, odstąpił od swego zamiaru i szybko się cofnął.

Nad jeziorem, opodal naszego taboru, od rana ruch i gwar niebywały. Gdzieś z głębi Haudu przyciągnął szereg krajowców Ogadeńców, z setkami wielbłądów i bydła i nad wodą koczowiska swe rozbił. Zwykła wrzawa, kurz nieznośny i sąsiedztwo kup bydła przypominają mi dni, w Darror spędzone. Do wieczora jeszcze więcej krajowców się zebrało. Staraliśmy się stawek od wielbłądów uchronić, lecz ścisk był tak wielki, i Ogadeńcy ze swym bydłem tak parli do wody, że nie chcąc doprowadzić do starcia, widział się Alikhar zmuszonym wodopoju ustąpić.

Woda formalnie w oczach ubywa, na dwa dni już jej nie stanie; dla nas to ważne z tego względu, że będziemy zmuszeni Gembesi opuścić.

Przez krajowców doszły nas głuche wieści, przez dziesiątki mil od zachodniej kraju granicy z ust do ust podawane, że w Abisynii zanoszą się na wielką wojnę z Włochami, i »biali« doznają porażki po porażce. Choć Abisyńczyk zaciętym jest wrogiem Somalisów, nie bez pewnej dumy rasowej wyrażają się czarni o zwycięstwie



ŻYWA ZDOBYCZ.

swych sąsiadów nad wielkim państwem europejskim. Wieści te, w głębi dżungli usłyszane, poprzedzały o miesiąc włoską klęskę pod Aduą, o której dowiedzieliśmy się dopiero za powrotem w Adenie.

Grudziński zabił dziś podczas przechadzki, opodal obozu, dzika afrykańskiego (*Phacochoerus Aelianus*), pierwszy okaz tego zwierzęcia w zbiorze naszych trofeów. Mamy kłopot z obcięciem kłów, gdyż Somalisi za nic »nieczystego« zwierza dotknąć się nie chcą, musimy więc sami tą niezbyt przyjemną operacją się zająć.

Młode nosorożątko ma się doskonale, jest zdrowe i wesołe; przechadza się swobodnie po obozie, ku wielkiej ucieście naszych ludzi, i stanowi *great attraction* dla krajowców, którzy tłumnie wokoło zagrody się gromadzą i ciekawie niezwykłemu zwierzęciu się przypatrują. Nabyłem dla niego po długich targach krowę, jako karmicielkę, i mamy wielką uciechę, patrząc, jak nasz wychowanek łapczywie pije mleko z butelki.

Grudziński od kilku dni czuł się niezdrów i zapadł dosyć poważnie na żołądek. Zaszkodziła mu zapewne woda, zwyczajna, niegotowana, której się napił w czasie swej wycieczki do Hodaju.



Lampart Zamoyskiego.

27-go stycznia.

Księżyc zbliża się do pełni, i cudne noce jasne zdawałyby się jedynemi do zasadzki; mimo to ubiegłej nocy, którąśmy wszyscy trzej przy żywych przynętach przesiadzieli, żaden z nas zwierzyny nie widział. Słyszano tylko głosy lwa i pantery. Zewsząd o lwach raportują, lecz nie łatwo ich dostać: do przynęty ściągnąć się nie dają, a w dzień śledzeniu za tropem przeszkadza teren kamienisty i gąszczami porosły.

Spodziewaliśmy się dziś w nocy słoni przy wodopoju, lecz ruch ludzi i bydła odstraszył widocznie ostrożne zwierzęta od zbliżenia się do jeziorka.

Gdy wyczekiwaliśmy, siedząc przed namiotami, na wiadomość od wysłanych na zwiady ludzi, przybiegł jakiś Ogadeniec z nowiną, że o dwie godziny marszu od obozu, lew dziś rano zadusił wielbłąda. Zabrawszy swych ludzi, pośpieszyłem do miejsca, gdzie się ów krwawy dramat odegrał.

Widoczne były na piasku ślady walki: naprzód miejsce, gdzie lew skoczył na wielbłąda, dalej jak wielbłąd szamotał się i uciekał, wreszcie jak padł i zginął. Stąd morderca zawłókł swą ofiarę do gęstego krzaku mimozy, i gdybym nie był sam naocznie się przekonał, nie uwierzyłbym nigdy, że lew zdoła wyrosłego, dużego wielbłąda w pysku dobry kawał drogi pociągnąć. Co za szalona siła w szczękach tego zwierzęcia!

Zeribę śpiesznie zbudowano tuż pod wielbłądem. Zasiadłem w niej o słońca zachodzie, pełen ufności, że nareszcie lwa ujrzę. Zawiodła mnie jednak nadzieja: lew znownu się nie pokazał. Słyszałem go od samego wieczoru, jak wzdychając, mruczając, czasem rycząc przeciągle, krążył po dżungli pobliskiej, lecz się do mięsa nie zbliżył.

W zeribie jasno było od księżyca, jakby się w niej lampa pod matowem szkłem paliła. Przypuszczam, że lew, podszedłszy blisko, usłyszał może szmer jakiś, może zoczył ruch ludzi w zeribie, i wołał cierpieć głód, niż poświęcić życie.

Okolo północy słyszałem słonie, łamiące w pobliżu. O świcie wyszedłem z zeriby i usiadłem opodal, by w świeżej atmosferze porannej ochłoniąć po 12-tu godzinach wdychania wstrętnej woni ściery, gdy przybiegli dwaj Somalisi, wysłani z obozu dla zabrania mych manatków z zeriby, i z niesłychanem ożywieniem poczęli opowiadać, że przed chwilą spotkali stado słoni, wracające od wodopoju i żerem zajęte, zepewne te same, które w nocy łamiące gałęzie słyszałem.

W oka mgnieniu byliśmy na ich śladzie, bardzo świeżym i łatwo widocznym. Osman biegł naprzód z mym grubym kalibrem, nabitym kulą stalową i ośmiu drachmami prochu: ja tuż za nim, za mną drugi shikari z ekspresem do zmiany.

Słonie dopiero co były poszły, nie mogły zatem być daleko. Jakoż po chwili Osman przystanął, posłuchał i wskazując ręką przed siebie, szepnął:

— »Marodi!« (słonie).

Usłyszałem łamanie gałęzi i ów specjalny, dobrze mi znany z Cejlonu szmer od wciągania trąbą powietrza, który żerujące słonie wydają. Przede mną gąszcz był



MÓJ SLOŃ.

ciemny i zbity, dalej kupka drzew, pod którymi słonie się znajdowały. Przypadłem do ziemi i, wzięwszy strzelbę z rąk Osmana, przesunąłem się pod gałęzmi do miejsca, gdzie gąszcz przerzedzać się począł. O 15 kroków zoczyłem słonia, obrywającego liście z drzewa akacyi; nie widział mnie, ani wietrzył i spokojnie dalej żerował. Ukłękłszy, wzięłem go na cel i dałem ognia. Po strzale usłyszałem łomot gałęzi przed sobą, i gdy dym się rozszedł, ujrzałem kilka sztuk słoni, których przedtem nie zauważyłem, zbiegłych od kupy, trąbami do siebie, niespokojnie to w tę, to w ową stronę się poruszających, lecz jakby nie zdecydowanych, co dalej począć i w którą stronę umykać. Sztuka, do której strzeliłem, była między nimi, lecz która to była, i co się stało z nią — nie wiem do tej chwili. Widząc tylko zady olbrzymów, nie mogłem drugiej kuli umieścić, i nabiwszy wystrzeloną lufę, czekałem przyczajony, co dalej będzie.

Wtem jedna sztuka, największa ze wszystkich, odwróciła się nagle, i hucząc, poczęła ku mnie podchodzić. Odskokczyłem parę kroków i strzeliłem do niej za ucho. Runęła, jak stała. Z lewki strzeliłem do drugiego, który się zachwiał, pochylił i padł. Reszta stała ciągle w miejscu, wydając najdziwniejsze ryki i tony. Widocznie nie były nigdy w ogniu i nie obeznane z hukem strzelby, nie mogły sobie poprostu zdać sprawy, co się dzieje i skąd je prażą, gdyż ja i moi ludzie byliśmy w gąszczu, drzewami zakryci.

Miałem czas powtórnie strzelbę nabić i jeszcze dwa razy strzelić do dwóch sztuk, które powoli zaczęły na lewo ode mnie się odsuwać. Jedna z nich, trafiona w łopatkę, dała znak po strzale, lecz nie padła i dalej za przodem idącą podążyła.

Z dwóch słoni powalonych poprzednimi kulami, jeden wstał i umykać począł, rycząc przeraźliwie. Biegłem za nim dobry kawał, lecz w gąszczu pośpieszyć nie mogłem; w końcu mnie wyprzedził tak, że go z oczu straciłem i powróciłem do miejsca strzałów.

Na placu leżał tylko jeden słoń z kulą za uchem, ogromny, z dużymi kłami, z których jeden, niestety, ułamany. Dwie sztuki farbowały, śledziliśmy za obiema do południa, lecz stwierdziłem, o czem w Cejlonie, niestety, tak często miałem sposobność się przekonać, że słoń, nie poległy na miejscu, znaczy tyle, co stracony.

Farba bardzo szybko zasycha w grubych fałdach skóry, która się ściąga po strzale i upływ jej tamuje, trop schodzi się z innymi — i postrzałek stracony.

Z trzech tedy sztuk trafionych tylko jedną dostałem, ale za to ogromną, samca potężnego, najstarszego z całej gromady, która składała się z czterech sztuk dorosłych samic, o ile mi się zdaje, i dwóch mniejszych słoników.

Gdy w drodze powrotnej zbliżaliśmy się do obozu, ludzie moi już zdaleka zaintonowali chorał zwycięski, który śpiewać zwykli, gdy padnie zwierz najgrubszy.

Jakież było moje zdziwienie i radość, gdy pod namiotem Grudzińskiego zoczyłem trofea z drugiego słonia.

Wyprawa nasza zaiste bogata w niezwykle epizody!

Oto co się stało:

Z nas trzech, jeden Grudziński, o którym wyżej wspomniałem, że czuł się niezdrowym, pozostał wczoraj wieczorem w obozie, ażeby pod namiotem w łóżku spokojnie noc spędzić. Zamoyski i ja rozeszliśmy się każdy do swojej zeriby. Przed północą wyciągają Grudzińskiego z łóżka niespodziewaną nowiną, że stado słońi żeruje o paręset kroków od obozu. Noc była jasna, księżycowa, widno jak w dzień. Grudziński ubrał się, wziął sztuciec i w towarzystwie Alikhara i całej hurmy ludzi, skradających się za nim, dochodzi do słońi, widocznych jak siwe gmachy w srebrnym świetle księżyca. Bierze na cel jedną sztukę, na sztych najbliższej stojącą, i daje ognia. Ledwo strzał się rozległ, poczynają Somali z Alikharem na czele, umykać, co sił im starczy, krzycząc, że słońie szarżują. Grudziński, porwany pod ramiona przez shikarich, musi *nolens volens* z nimi umykać, nie wiedząc, co się stało ze słońiem, do którego strzelał. Dopadają do



obożu, Grudziński siada pod namiotem, by ochłoniąć z doznanego wzruszenia, gdy w parę chwil dają znać powtórnie, że znów widać słonia, stojącego w miejscu poprzedniego strzału opodal obożu. Grudziński idzie po raz wtóry, pokazując mu czarną sztukę o kroków 30, celuje na komorę, strzela. Po strzale ten sam strach paniczny ogarnia Somalisów — i ponownie *fuga* do obożu! Wszakże jeden z ludzi odważniejszych zawrócił się i dojrzał słonia, leżącego od szczęśliwej kuli Grudzińskiego. W obozie tryumf, radość i okrzyki.

Grudziński zatem zabił kilkuletniego samca, z ładnymi kłami, o północy, o dwieście kroków od swego namiotu. O podobnym zdarzeniu nigdy nie słyszałem, ani nawet nie czytałem w literaturze łowieckiej z egzotycznych krajów.

Co się stało z pierwszą sztuką, do której Grudziński strzelał, czy może ubita była tą samą, do której strzelał po raz pierwszy, ubezwładnioną od pierwszej kuli, a dobitą od drugiej, — pozostanie zawsze niewyjaśnioną zagadką. Na wytłómaczenie niezwyklego zajścia dodać należy, o czym już raz powyżej wspomniałem, że Somalisi, nie wyjmując dzielnego Alikhara, mają paniczny, jakby wrodzony strach przed słoniami wogóle, a szczególnie przy spotkaniu z nimi w nocy, i twierdzą, że słoń w nocy nie tylko na myśliwego, lecz i na zeribę, a nawet obóz cały lub osadę, uderzyć się odważa. Uważam to za strach grubo przesadzony, bo właśnie w nocy myśliwemu łatwo się usunąć przed krótkowidzącym zwierzem. Wierzę zaś, że w nocy stado słońi istotnie szarżowaćby mogło w kierunku, gdzie niebezpieczeństwo spostrzegły, i dlatego pojmuję, że onegdaj shikari Zamoyskiego nie dał mu strzelać z zeriby, z której człowiek szybko wyskoczyć nie może i którą słonie mogłyby zniażdżyć razem z ludźmi, wewnątrz się znajdującymi.

Dosyć, że dzień dzisiejszy przysporzył nam w zdobyczy dwóch olbrzymich gruboskórców, których kły stały się prawdziwą ozdobą dotychczasowego naszego rozkładu.

Po południu złożył nam wizytę jakiś królik ogadeński, który przybył ze swym szczepem z głębi kraju, a którego Alikhar szumnie sultanem nazywa. Przybył do obożu w towarzystwie swego brata, kilku krewnych i starszyny. Przyjęty pod namiotem, zasiadł na krześle w naszym kole, i rozpoczęła się konwersacya za pośrednictwem Alikhara, jako tłumacza, od zapewnień przyjaźni, gotowości do usług i tym podobnych frazesów. Mówiliśmy o wypadkach w Abisynii. Opowiadał nam między innymi, pokazując trzy karabiny wojskowe starszego systemu, w które jego świta była uzbrojona, że zabrał je bandzie Abisyńczyków, którzy w roku zeszłym jego osadę naszli i których własną ręką zabił i ograbił. Nieglupim być się zdawał i nosił się poważnie, z pewną godnością wyższego, choć dzikiego personata. Na zakończenie prosił mnie o amunicję

do karabinów, lecz odmówiłem, i obdarowaliśmy go tylko płachtą niebieską i — 10-ciu rupiami srebrnymi; niezbyt bogaty datek dla sułtana, lecz zadowolonym być się zdawał.

Na noc wybrałem się na zasadzkę do zagryzionego onegdaj wielbłąda, lecz jakież było moje zdziwienie, gdy doszedłszy do zeriby, nie zastałem z padła nic, prócz resztek wnętrzności i kilku kości! Niedopalone obok ognisko zdradzało sprawców: Midgani wytropili mięso i czego sami nie spożyli, na zapas zabrali. Trudno uwierzyć, że są ludzie, mogący jeść padlinę kilkudniową, ale zdaje się to być zwyczajem Midganów, którzy specjalnie za tem śledzą po dżungli. Moich ludzi wcale to nie zdziwiło, a gdy z oburzeniem opowiadałem o tem Alikharowi, odrzekł obojętnie: «Wiadomo, że Midgan gorszy niż kobieta» — zdanie niepoehlebne dla niewiast somalijskich, lecz dobitnie wskazujące, jak u Somalisów kobieta jest uważaną. Za zabicie Somalisa płaci zabójca szczepowi lub krewnym zabitego 100 wielbłądów i 4 konie okupu, za kobietę 50 wielbłądów, a za Midgana tylko 25!

Rozumie się samo przez się, że przy zerobie, w której musiałem noc przepędzić, bo za daleko było do obozu, żaden zwierz się nie zjawił. Ludzkie hyeny zastąpiły tym razem zwykłych nocnych trupiarzy.

30-go stycznia.

Dwa dni ostatnie w Gembesi spędzone, były jałowe w wypadki. Śledziliśmy za nosorożcami, których świeże tropy w okolicznej dżungli się zjawiły, lecz bez skutku. Zamoyski doszedł dwa razy do jednej sztuki, lecz zwierz dwukrotnie prysnął przed nim tak szybko i w tak ciemnym gąszczu, że strzał był niemożliwym.

Noce spędzamy regularnie wszyscy trzej w zeribach, ale czy to noce księżycowe do zasadzek się nie nadają, czy też zwierz zdradzony i wyjątkowo ostrożny, — dość, że ani razu żaden z nas lwa nie widział. Słychać ich kilka w dżungli, ale do przynęty się nie zbliżają. Lamparty, zwabione masą ścierva z ubitych dwóch słoni, kręcą się całą noc po dżungli. Zamoyski widział dwa jednej nocy, lecz nie na strzał.

31-go stycznia.

Brak wody w Gembesi zmusił nas cofnąć się na północ, o dwie godziny marszu, do drugiego stawku, zwanego Mersin, w którym woda niezupełnie wyschła. Na noc wracamy do zerib w Gembesi, w nadziei, że lwy widząc, iż ludzie się wynieśli, może będą mniej ostrożne.

Lwów jest co najmniej trzy w okolicznej dżungli. Wypowiedzieliśmy im walkę zawziętą, i pragnąłbym tych stron nie opuścić, dopóki się z nimi stanowczo nie rozprawimy. Dotychczas one górą, a my pobici na głowę, płacimy haracz zwycięzcom w postaci całego szeregu nocy bezsennych, spędzanych pod gołym niebem w zatrutej atmosferze cuchnącej padliny.

Pusto tu, ludzie się wynieśli, pociągnęli na południe za wodą; trzeba się śpieszyć ze lwami, bo i one wkrótce w ślad za ludźmi podążą.

Grudziński powrócił do zdrowia. Dziś zrana wydarzył mu się niemiły wypadek; skorpion ukąsił go w ramię. Brzydkie to stworzenie zapewne w nocy wlało do rękawa ubrania, i w chwili, gdy nasz towarzysz strzelał do perliczki, uczuł dotkliwy ból w ramieniu: skorpion usadowiony między kurtką a koszulą, ukłół go swym żądłem śpiczastem. Szczęściem, flanela pochłonęła część jadu i zmniejszyła ból.

Ukąszenie skorpiona nie jest niebezpieczne dla życia, lecz nieraz może spowodować ubezwładnienie ukąszonej części ciała i nader jest bolesne. Wypaliliśmy ranę lapisem, i Bogu dzięki skończyło się na chwilowym bólu i lekkim opuchnięciu ramienia.

Nosorożątko zdrowe, lecz głodne: mleko krowy nie wystarcza. Dodajemy kondensowanego mleka z puszek, ale i tego nie dosyć, gdyż biedne stworzenie zmizerniało i schudło. Skoro tylko Achmet Dżama powróci z Berbery z resztą naszego Apollinaris'a, co lada dzień nastąpić winno, zamysłam odesłać go ponownie wprost do Berbery z nosorożątkiem i krową, by nie narażać słabego zwierzęcia na długie marsze naszych dalszych wycieczek w głąb kraju.

Prócz krowy, jako karmicielki dla nosorożątka, nabyłem w Gembesi od krajowców, przechodzących tamtędy, dwadzieścia sztuk owiec na kuchnię dla nas i dla ludzi. Za krowę zapłaciłem 55 rupii, za owce po 4½ rupii od sztuki. Są to ceny ogromne względnie do ilości bydła w kraju i braku na nie popytu. Pieniądz tu jednak ma małą wartość, bo niemożność jego zamiany na inne artykuły, których w głębi kraju niema, wytwarza u krajowców nieświadomość jego ceny, a nawet pewną dla niego obojętność. Ogadeniec nie ma prawie żadnych potrzeb, do Berbery rzadko zachodzi, całe jego mienie polega w żywym towarze, z którym niechętnie się rozstaje, bo nic innego nie posiada i łatwo go od drugiego nie dostanie. W świecie cywilizowanym handel tworzy normę ceny, tu zaś handel słaby, prawie żaden. Jedyne towarami eksportowymi Ogadenu są skóry owcze, strusie pióra, *gumma arabica* i szyldekret. Co jakiś czas odchodzi karawana z większym transportem powyższych towarów do Berbery, i tam na miejscu zamienia je *in natura* na rozmaite, krajowcom potrzebne przedmioty: jak odzież, broń, ryż, daktyle i t. p. Pieniądz rzadko jest w obrocie. Cenę danego artykułu oznacza się ilością skór owczych lub wielbłądów; srebrna rupia jest w użyciu tylko u szczepów bliżej pomorza mieszkających. Im dalej w głąb kraju, tem więcej niknie jej wartość, a za Webi Shebeli zupełnie jest nieznaną i pieniędzy tam wcale nie przyjmują. Płace ludzi są też stosunkowo śmiesznie wysokie: nasz somalijski kucharz Dirri bierze 40 rupii miesięcznie, t. j. pensję, za którą dobrego »szefa« w Europie dostać można. Prosty »camel-man« czyli poganiacz wielbłądów, pobiera 15 rupii na miesiąc, nie licząc przytem sutych prezentów, które wszystkim bez wyjątku ludziom z karawany przy każdej ważniejszej okazji udzielać jest w zwyczaju. Dla shikarich, czyli przybocznych myśli-

wych, ustanowiłem zaraz pierwszego dnia po wyjściu z Berbery stałą takse darowizn, która działa niesłychanie na ich miłość własną i stwarzając emulację pomiędzy nimi, niezmiernie służy do pobudzenia ich dobrych chęci i pilności. Płacimy naszym shikarim po dwie sztuki złota (2 funty angielskie) od lwa zabitego, od słonia tyleż, od nosorożca po jednej sztuce; nie chodzi tu tyle o wartość pieniędzy, ile właśnie o emulację, która nam tylko na dobre wyjść może.



ROZDZIAŁ IV

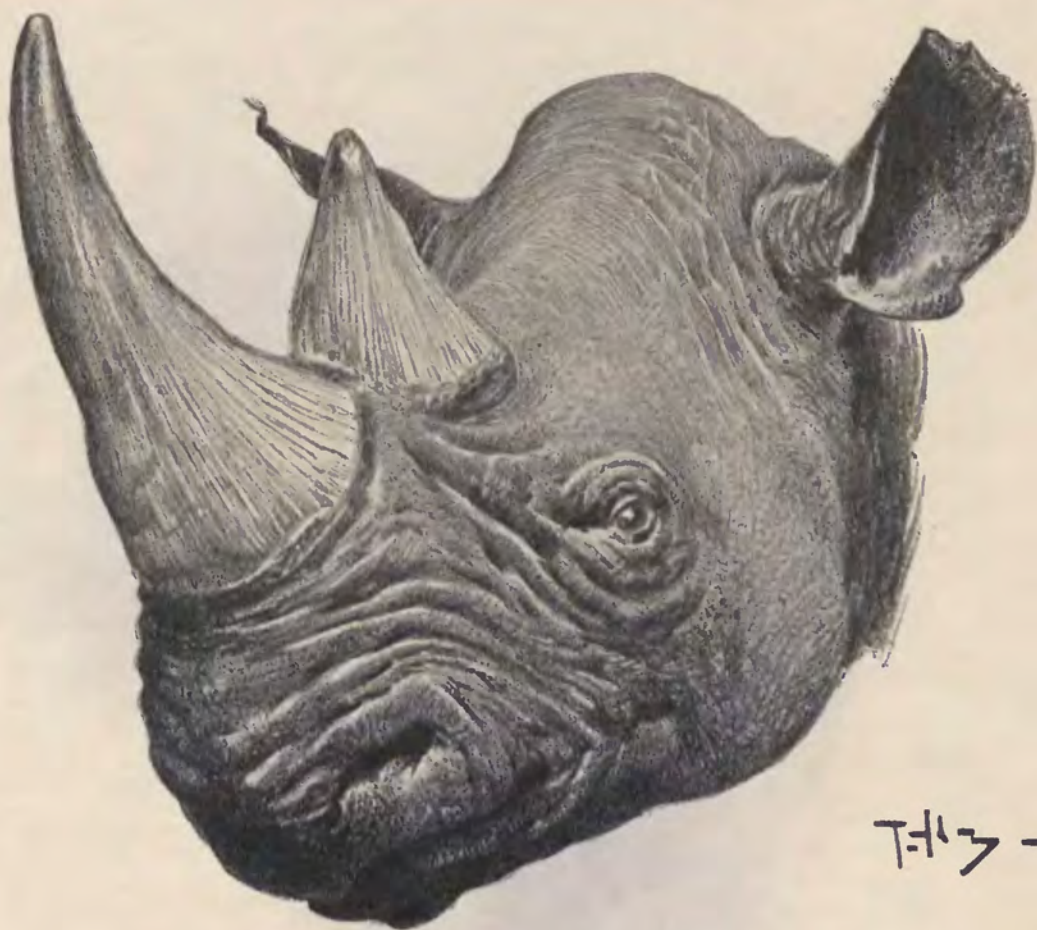


Fig. 1 -

1-go lutego.

Pierwszy dzień trzeciego miesiąca, który w Afryce spędzamy, wzbogacił nasz rozkład pięknym trofeum. Zdobył je Zamoyski, a był niem słoń, już trzeci na naszej liście. Znalazłem się sam na jego tropie świeżutkim, gdy rankiem wyszedłem w Gembesi z zeriby, w której, jak zwykle, bezskutecznie noc spędziłem. Szliśmy kawał za śladem, lecz moi ludzie, jakby zmęczeni i niebardzo chętni, niezbyt umiejętnie tropu się trzymali. Straciliśmy go w gąszczu i wysokiej trawie; Osman leniwie go odszukiwał. Zniechęcony po niewyspanej nocy, wróciłem do obozu. Zastąłem tam Achmeda Dżamę, który przyciągnął z Berbery z Apollinaris'em, lecz bez spodziewanej przez nas poczty europejskiej; odesłano ją do Hergeiży, i posłaniec w drodze rozminął się z Achmed Dżamą.

Zamoyski, zachęcony mem opowiadaniem o świeżym tropie słonia, wybrał się nań ze swymi ludźmi. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy dolatujący zdaleka do obozu chorał zwycięzki Somalisów zwiastował, że znów padł zwierz najgrubszy z ręki naszego towarzysza.

Elmi, shikari Zamoyskiego, podjął ślad słonia, gdzie mój Osman był go porzucił i wyprowadziwszy go z trawy i haszczów na otwarte miejsca, doszedł zwierza po czterech godzinach marszu. Słoń stał pod drzewem akacyi, trąbą wymachując i głośno uszami się wachlował. Zamoyski, gdy go zoczył, był od niego o kroków 40; podsunął się bliżej i strzelił z boku za ucho. Olbrzym runął w ogień od jednej kuli.

Piękna sztuka, byk z ładnymi kłami, z których jeden, podobnie jak u mojego, ułamany.

Z jednego stada ubiliśmy zatem trzy sztuki sloni, z tego dwa byki grube. Wyznam otwarcie, że po niefortunnym spotkaniu z nimi w dniu 19-tym stycznia, mało mi zostało nadziei, byśmy się tak gładko z gruboskórcami rozprawić zdołali.

Trudniej, niestety, ze lwami Farfanieru! Cały dzień dzisiejszy zeszedł na dyskusjach i naradach z Alikharem względem naszych dalszych planów. Rezultatem jest kapitulacja, którą lwom tutejszym podpisuję, ustępując zwyciężony z pola walki. Niepodobna tu więcej czasu tracić — woda w stawkach wysycha. Z okolic Hodaju o innych lwach donoszą; stanęła zatem decyzja wymarszu w tamte strony. Siedemnaście nocy, spędzonych bezskutecznie w zeribach, przechyliło stanowczo zwycięstwo na stronę wielkich felidów.



3-go lutego.

Hodaju leży o cztery godziny marszu w kierunku północno-wschodnim od ostatniego jeziora Farfanieru. I tu jest stawek do dna wyschły, noszący nazwę miejscowości Hodaju.

Ludzie nasi wykopali w mule jamę głęboką, w której woda się pokazała, i dzięki temu będziemy mogli dłużej tu pozostać. Tabor nasz zmniejszył się o kilka wielbłądów, wysłanych z Achmed Dżamą i nosorożątkiem do Berbery.

Od kilku dni pogoda się zmieniła; czarne chmury zawisły nad północnym horyzontem, jakby zwiastowały zbliżającej się pory deszczów, i parę razy deszcz w samej rzeczy ziemię skropił, krótki i skąpy, lecz dostateczny, by ochłodzić i orzeźwić temperaturę. Na klimat Somalilandu nie możemy się uskarżać; cudowne jego przymioty przypisuję okoliczności, że jesteśmy wciąż na płaskowzgórzu wyniosłym, dzięki czemu powietrze wciąż lekkie i świeże czyni dnienne upały znośnymi. Gdyby nie straszny brak wody, byłby to kraj idealny. Lecz ta właśnie ujemna okoliczność nieraz we znaki się daje i dokuczyć może.

Obóz nasz rozbito nad brzegiem wyschłego stawku; opodal zbudowano dwie zeriby na nocną zasadzkę. Świeże ślady lwów i nosorożców dodają otuchy, że jesteśmy wciąż w obrębie rewirów najgrubszego zwierza. Niezliczone stada perliczek kryją się w zaroślach, strzelamy ukradkiem po parę sztuk dziennie na kuchnię, ku wielkiemu zgorszeniu Alikhara, który nie lubi pukankiny do ptaków i wciąż grozi, że grubą zwierzynę przez to wypłoszymy.

Rozpoznałem tu dwa gatunki pentarek: jeden identyczny z naszą domową perliczką, drugi odmienny, barwy niebieskiej, z długimi fioletowymi piórkami pod brzuchem, takimiż lotkami i jakby futrzaną brunatną przepaską na główce (*Numida vulturina*). Oba rodzaje są pospolite w całym Somalilandzie, trzymają się przeważnie okolic otwartych nad brzegami rzek lub stawków; łatwe do podejścia, dają sposobność licznych strzałów: wystraszone wyciekają zwinnie na nogach, a gdy się zerwą, zapadają niedaleko, wskutek czego znowu je podejść można. Zawsze są przez myśliwych mile widziane i stanowią łatwe do zdobycia, doskonałe pieczyste dla polowej kuchni łowieckiej wyprawy.

Z nocnymi zasadzkami, niestety, nam się nie wiedzie. Każdą noc bez wyjątku spędzamy w zeribach, lecz bezskutecznie. Lwy są w dżungli, odzywają się, ale do przyjęty zbliżyć się nie chcą. Wczoraj dopełniłem liczby dwunastu nocy, bezowocnie pod gołym niebem spędzonych, ale idę dziś znowu, pójdę jutro i t. d. dopóki jestem w Somalilandzie i póki się sposobność nadarzy.

Dziwna to namiętność polowanie, którą okupywać trzeba niewygodami, trudem i wysiłkami, a która przecież budzi się zawsze świeża i nieugaszona. Sądzić jej, jak wszelkich ludzkich słabości, miarą zdrowego rozsądku niepodobna, raczej wytłómaczyć można nieprzewartą chętką nadzwyczajnych wrażeń i żądzą zaspokojenia tego właśnie uczucia, które się zowie namiętnością myśliwską. Zamiast zdobyczy, przynosi się nieraz zły humor, zmęczenie, chorobę nawet, a jednak nazajutrz znowu się jest gotowym ten sam trud pouścić, pełen nowych sił i nigdy nie gasnącej nadziei, pchany zawsze naprzód tą samą wiecznie gorącą żądzą nowych emocji i przygód niezwykłych.

Włażąc z wieczora do zeriby, omal nie nastąpiłem i ręką nie dotknąłem węża jadowitego, czarnego koloru, którego ukąszenie sprowadza śmierć natychmiastową. Ludzie moi aż jęknęli z przerażenia i poczęli szeptać modlitwy, wzywając imienia Allaha. Wyznam, że sprawiło to na mnie niemiłe wrażenie, i całą noc zasnąć nie mogłem w zeribie, rozglądając się wciąż po ziemi i gałęziach, czy złowrogiego gadu niema w bliskości.

5-go lutego.

Rozumie się, że »trzynasta« noc w zeribach spędzona nie mogła być dla nas, już z powodu samej cyfry fatalnej, pomyslniejszą od poprzednich.

Achmet Dżama wyruszył wczoraj do Berbery z młodym nosorożcem, krową i licznymi pakami rogów, skór i trofeów rozmaitych, oraz poleceniem powrotu i spotkania się z nami za dni dwadzieścia.

Po walnej naradzie z Alikharem względem przyszłej marszruty i projektów, stanęło na tem, że nastąpi rozdział karawany: Grudziński ze swymi ludźmi, jednym namiotem i nieodzownym zapasem wody i żywności cofnie się na południowy zachód w okolicę Farfanieru i Gembesi; ja udam się wprost na południe do miejscowości zwanej Summanieh, Zamoyski zaś ma pozostać w Hodaju z głównym taborem ludzi i Alikharem.

Rozdział taki myśliwskiej karawany pomiędzy jej uczestników jest w wielu razach wskazany i bardzo praktyczny;



rozszerzając granice rewiru każdego z myśliwych, umożliwia im bez straty czasu równocześnie w kilku miejscach polowanie i powiększa dla każdego szanse zdobyczy, przyczem jeden drugiemu w drogę nie wchodzi i wszystkie warunki danego terenu może dla siebie wyzyskać.

Zamoyski, jak wspomniałem, pozostał w Hodaju, gdzie codziennie spotykane świeże tropy lwów do dalszej z nimi walki zachęcają. Alikhar robi co może, buduje zeriby w różnych miejscach, puścił nawet kilka osłów i wielbłądów luzem do dżungli ku większej przynęcie. Bieda jedynie z wodą, której zapas w oczach niknie w wykopanych jamach, i ciągną jest trwoga, że wskutek jej braku będziemy zmuszeni strony te opuścić.

Tymczasem Grudziński i ja wybieramy się każdy w swoją stronę, i dzień dzisiejszy zeszedł na przepakowywaniu rzeczy i przygotowaniu zapasów i prowizyi na dni sześć dla każdego z nas.

6-go lutego.

Grudziński wyruszył wczoraj przed wieczorem, ja zaś dziś o świcie, pożegnawszy się z Zamoyskim, który właśnie z zeriby powracał, puściłem się w drogę do Summanieh. Mam z sobą tylko pięć wielbłądów, z których jeden nosi wodę, jeden jest namiotem obciążony, reszta moim prowiantem i zapasem żywności dla ludzi.

Droga, a raczej wązka ścieżka wije się w kierunku południowym wśród niskiej dżungli karłowatej, nieładnej, wiecznie i wszędzie jednostajnej, w której jedynie krocie perliczek monotonny ożywiają krajobraz. O godzinę marszu od Hodaju skrzyżowałem świeży trop nosorożca, i pragnąc dać sposobność strzału Zamoyskiemu, który dotychczas z nosorożcem się nie spotkał, wysłałem do niego posłańca z wezwaniem, by się za śladem wybierał.

Przed południem stanęliśmy u celu naszego marszu, nad brzegiem wyschłego jeziora, w którym rękami wykopane dolki zawierają resztki ciemno-brunatnej, cuchnącej wody, mającej nam wystarczyć na kilkudniowe potrzeby. Miejscowość zwie się Summanieh.

Namiot mój rozbito nad brzegiem stawku w cieniu akacyi. Tabor nieliczny. Głucho tu, cicho i pusto, jakby w jakiej otchłani, zdala od wszystkiego, co wiąże ze światem; uczucie strasznej samotności mimowoli ogarnia, lecz nie trwoży, bo góruje nad niem urok olbrzymiej przyrody, z którą człowiek się zżywa i która czaruje jej miłośnika coraz to nowymi obrazami. Przypominają się słowa jakiejś poezyi niegdys czytanej: Jak dobrze wypocząć, odetchnąć po znoju, Jak dobrze się rzucić na łono spokoju, Nie myśleć o niczem, niczego nie żądać! I w ciszy na piękność tej ziemi spoglądać!...

Wysłałem ludzi na zwiady do dżungli i oczekując ich powrotu, dziś już z obozu nie wychodziłem.

Dzień następny nie przysporzył mi wielkiej zdobyczy. Wyszedłszy o świcie, wró-

ciłem przed samym słońcem zachodem; jedenaście godzin snulem się w dżungli za śladami nosorożców, ale żadnego w nich nie spotkałem. Zeszedłem na polance żerujące stadko dzików afrykańskich i zabiłem z niego dwie sztuki, maciorę i przelatka.

Kłopot znowu z kłami, które nie tylko sam obciąć, lecz pół dnia nosić musiałem, gdyż żaden Somalis za nic dotknąć się ich nie chciał. Z innej zwierzyny widziałem zabłąkanego tu pojedynczego oryksa, mnóstwo małych antylopek dik-dik; mój shikari spostrzegł w gąszczu dużego kudu, lecz ostrożny zwierz znikł w mgnieniu oka, nim go dojrzeć zdołałem.

Wróciwszy do obozu, zastałem w nim wiadomość, że koło jeziora, opodal namiotu, są widoczne z ubiegłej nocy świeże tropy dwóch lwów, których, wychodząc pociemku, nie widzieliśmy.

Zbudowano zeribę o sto kroków od namiotu, i przesiedziałem w niej noc następną przy ośle, lecz nic nie widziałem. Cały dzień potem chodziłem znów za nosorożcami, lecz dziś wogóle żadnej zwierzyny nie spotkałem.

Mimo zawodów, trudu i zmęczenia, lubię te wędrówki po dżungli; bezustanne oczekiwanie, czy się lada chwila z grubym zwierzem nie spotka, nie pozwala się nudzić, a tysiące nowych szczegółów odmiennej fauny i flory dodają uroku niepospolitego tym samotnym przechadzkom.

W obozie zastałem gońca z Hodaju z listem od Zamoyskiego, zawierającym dobrą nowinę, że nosorożec, o którego śladzie onegdaj go zawiadomiłem, padł z jego ręki, oraz że tejże nocy ubił lamparta przy żywej przynęcie.

Polowanie po rosyjsku nazywa się »ochota« i istnieje w tymże języku przysłowie, które twierdzi, że »polowanie jest gorsze od niewoli«. Po naszymu wyraz ten oznacza warunek, który do polowania jest konieczny, bo jeżeli brak prawdziwej i szczerzej ochoty, to polowanie istotnie stać się może gorszym od przymusu. Powtarzam to sobie co rano, gdy wyłażę z zeriby, zmęczony, sztywny, zbolący, po twardym noclegu na gołej ziemi, lub niewygodnym krzeselku, zły, że mi ani razu dotychczas zasadzka na lwa się nie powiodła. Noc dzisiejsza szczególnie mi dokuczyła. Słyszałem lwa od północy do świtu: chodził, mrucał, wzdychał, jęczał, krążył wokoło zeriby, i lada chwila, myślałem, że siądzie na ośle; podkradał się pod sam obóz, tak blisko, że go straż nocna widziała i wielbłądy do ucieczki się zerwały, — lecz do przynęty zbliżyć się nie raczył. Nad ranem znikł w gąszczu i przepadł.

Podobna noc, gdy lew jest w pobliżu i lada chwila oczekiwany, specjalnie nuży; o spaniu niema mowy, w zerobie ruszyć się nie można — za ledwie oddychać człowiek się ośmiela, aby broń Boże z własnej nieostrożności zwierza nie spłoszyć. Jednakże mimo wszelkich wysiłków, by się cicho zachować, *à la longue* nie jest się w stanie całej nocy jak posąg wytrzymać; mimowoli człowiek się poruszy, głębiej westchnie lub chrząknie, i to może wystarczy, by w ciszy nocnej czujny zwierz szmer z zeriby usłyszał i do przynęty zbliżyć się nie odważył.



Nosorożec Zamoyskiego.

Bezowocne noce wynagrodził św. Hubert pięknym porankiem. Wróciwszy z zeriby, wysłałem ludzi na zwiady za świeżymi tropami, i po chwili przybiegł Somalis z raportem, że o pół godziny drogi od obozu spotkał żerującego nosorożca. Podjęliśmy niebawem świeży ślad i po godzinnym marszu doszli zwierza, który tymczasem kawał drogi już się był oddalił.

Osman pierwszy go zoczył i pokazał mi leżącego w trawie; na sztych ku nam był zwrócony, tak, że mu z wysokich zarośli tylko róg i wierzch łba wystawał. Spał smacznie i niebezpieczeństwa nie przeczuwał. Widząc tylko łeb o kroków dziesięć przed sobą, wyznam, że zawahałem się chwilę, czy strzelić w tej pozycji, czy też z innej strony starać się go podejść, gdyż było prawdopodobnem, że jeżeli zwierza nie ubezwładnię na miejscu, w gąszczu, który za mną drogę do odwrotu zagradzał, mogę w jednej chwili znaleźć się pod jego rogiem i nogami. Krótco jednak trwała refleksya: zmierzylem się do łba i dałem ognia. Łomot powstał pod krzakiem, zwierz zerwał się z trzaskiem i ku mnie się rzucił.

Machinalnie odciągnąłem drugi kurek i z pod pachy, niemal *à bout portant*, strzeliłem do bezkształtnej masy, która się ku mnie waliła. Przewrócił się w ogniu, pod memi nogami, uchwycony szczęśliwą kulą w krzyż, która mu kość pacierzową zdruzgotowała i zatrzymała na miejscu.

W podobnych wypadkach, gdy życie od jednej kuli zależy, ma się możliwość ocenić co znaczy broń doborowa z odpowiednim nabojem, i jak koniecznym jest należycie się pod tym względem wyekwipować. Żaden ekspres Holland, ani Mannlicher, choćby dynamitem nabity, nie zastąpi w wypadku wyżej opisanym, gdzie zwierza trzeba powalić na miejscu, grubego kalibru o ogromnej kuli ze stalową kończyną i ośmiu drachmami prochu.

Ubity nosorożec był to samiec średnich rozmiarów z niedużym rogiem. Przy opatrunku strzałów okazało się, że pierwsza kula, strzelona na sztych do śpiącego, przeszła tylko powierzchownie po czaszce, nie naruszając kości, zwierz zatem był zdrow zupełnie, a tylko oszołomiony nieco, nim wypadł z legowiska, i dzięki temu miałem czas drugi kurek naciągnąć i *à tempo* strzelić.

W tem samym miejscu, gdzie dwa dni ubiegłe nadaremnie świeżego śladu szukałem, natknąłem się dziś po ubiciu pierwszego nosorożca na świeży trop drugiej sztuki. Zostawiwszy jednego z ludzi przy ubitym, puściłem się za drugim, samowtór z Osmanem. Po trzech godzinach kręcenia się w ciemnej dżungli, zesłaliśmy zwierza na miejscu otwartem, śpiącego pod drzewem o spuszczonej do ziemi konarach, jak pod parasolem. Tym razem nosorożec pierwszy nas usłyszał, zerwał się, prychnął, i jakby nie zdecydowany, w którą stronę uderzyć, począł dosyć wolno wyłazić ze swej kryjówki. Strzeliłem szybko z obu luf o kroków 30. Zwierz po strzale skrzył się w kółko, zawahał, szukał nas wzrokiem, lecz w ukryciu krzewu ujrzyć nie zdołał, i ciężko sapiąc, wypadł na otwarte miejsce na polec ode mnie. Miałem czas nabić i strzeliłem jeszcze trzy razy do boku, nim zwierz runął martwy z czterema kulami w sobie, z których dwie śmiertelne z obu stron w komorze, jedna w zadzie i jedna nisko w łopatce. Mimo siły pocisku, kula nie jest w stanie przebić nawskroś olbrzymiego cielska i zostaje zwykle na drugiej stronie pod skórą. Ubita sztuka była samcem kolosalnych rozmiarów, z rogiem czterdzieści cm. długości. Ludzie powiadają, że dawno już tak ogromnej sztuki nie widzieli.

Patrząc na leżącego potwora, o łbie monstrualnym i nieforemnych kształtach, trudno uwierzyć, że przed wielu tysiącami lat olbrzymy te zamieszkiwały Europę od Uralu do Francji, jak o tem świadczą mnogie szczątki kości i całkowite szkielety, odnajdowane w najnowszych czasach tu i owdzie w rzekach Sybiru i północnej części Europy.

Nosorożec przedpotopowy (*Rhinoceros tichorhinus*) był zwierzęciem pospolitem w dzielnicach dawnej Polski, a odnalezione w Galicyi i doskonale zakonserwowane czaszki tego gruboskórca, znajdujące się w Muzeum imienia hr. Dzieduszyckiego we

Lwowie, są niezbitym dowodem, że niegdyś zwierz ten zamieszkiwał nasze puszcze i bory¹⁾.

Jak wyżej wspomniałem, nosorożca Somalilandu uznali naturaliści angielscy za *varietas* odmienną od zwykłego *Rhinoceros bicornis*, znajdującego się w Afryce środkowej. Nazywają go »black Rhino«, czyli nosorożec czarny, z powodu ciemniejszej jakoby barwy skóry. Brehm w swem dziele pomnikowym »O życiu zwierząt« nie odróżnia jednak odmiennego rodzaju somalijskiego nosorożca, może dlatego, że był mu jeszcze nieznan. Pisze też między innymi, że nosorożce, jak i słonie, bez wody obejść się nie mogą i że nigdy się nie znajdują w większym oddaleniu od rzek, stawków i moczarów²⁾. Pozwalam sobie zdaniu temu przeciwstawić fakt, własnym doświadczeniem stwierdzony, że nosorożce pogranicza Haudu somalijskiego, zamieszkują okolice *absolutnie bezwodne*, od wodopojów tak znacznie oddalone, że ich odwiedzać nie mogą, że zresztą śledząc dniami całymi za nosorożcami, miałem sposobność przekonać się, iż zwierz ten w pewnych porach roku z dżungli bezwodnej *absolutnie* nie wychodzi i zaspokaja pragnienie przeżuwaniami roślin z rodzaju kaktusów, zawierających w sobie pewną dozę wilgoci.

Wypytywałem się nieraz krajowców o sposób życia nosorożców i znalazłem w ich opowiadaniu stwierdzenie mego mniemania, że gruboskórce Somalilandu odznaczają się, jak zresztą cała fauna tego kraju, niewytlómaczoną, dziwną odpornością na brak napoju, i zbijają zdanie utarte w historii naturalnej, że pachydermy bez wody obejść się nie mogą.

Już starożytni znali nosorożca, lecz nie mając o nim jasnego pojęcia, uważali go za jakąś bestię apokaliptyczną, o której od Pliniusza do Marka Polo nie umiano trafnie zdać sobie sprawy. Do dziś dnia jeszcze jest to zwierz pod względem swych zwyczajów, rozmnażania się i sposobu życia wyczerpująco nie zbadany i stanowi dla uczonych specjalistów od dawien dawna przedmiot niezwyklej ciekawości i studyów. Tem więcej dbam o moje małe nosorożątka, które pragnąłbym żywe dowieźć do Europy.

Powróciłem wcześniej do obozu z pysznem trofeum z dwóch nosorożców i byłem przywitany radosnymi okrzykami pocziwych Somalisów. W podobnej chwili zapomina się szybko o jałowych dniach poprzednich, o dolegliwościach nudnych nocy w zeribach spędzonych; chwila powodzenia wystarcza, by zatrzeć wrażenie długich zawodów i trudów, w sercu myśliwskim nie pozostaje żaden niesmak, żadna nuta fałszywa; góruje jeno w niem w danej chwili uczucie szczerego zadowolenia z zaspokojenia szlachetnej

¹⁾ W Muzeum imienia Dzieduszyckich we Lwowie znajdują się dwie czaszki nosorożca twarondonosowego (*Rh. tichorhinus*, Cuv.), doskonale zachowane, z których jedna była znaleziona w Sanie pod wsią Walawą, druga dar b. namiestnika Galicyi, Agenora hr. Gołuchowskiego, w potoku pod Kałuszem. Prócz tego są w pomienionem Muzeum części czaszki i wogóle szkieletu tego dawnego mieszkańca naszego kraju, znalezione w Sanie pod Radymnem, Sieniawą, z Rudek, z nad Horynia, z Bukaczowic i Kornalowic, w dolinie Dniestru, z rzeczki Czerchawki, z Hałajkowiec i t. d.

²⁾ Brehm's »Thierleben« t. III str. 521.



T. H. S.

NOSOROŽEC (RHINOCEROS BICORNIS.)

namiętności. W tem leży cały urok właśnie polowania; wieki mijały, zmieniały się pokolenia i obyczaje, a ludzie zawsze polowali, stawiając łowiectwo na czele najprzedniejszych rycerskich rozrywek od zamierzchłej epoki pogańskiej Dyany do nowszych czasów, w których oddali je nasi przodkowie pod opiekę świętego Patrona.

Somalisi wykroili ogromne porceje mięsa z ubitych nosorożców i zapowiadają na wieczór bankiet, który trwać ma noc całą. Mięso to, prócz tego, że jest żyłaste i twarde, nie wydaje się wstrętnem i pewnie nie jest gorsze np. od wielbłądziejego, tak wysoko w kraju tutejszym cenionego. Ledwo słońce zaszło, gwar powstał w obozie, na rozpalonych ogniskach smażą się nosorożcowe befsztyki, głośno i wesoło w gromadce mych ludzi, których usposobienie zawsze jest w związku z powodzeniem wyprawy i rośnie w stosunku do pomyślnego rezultatu.

10-go lutego.

Z dnia dzisiejszego mam do zanotowania noc bezowocnie, jak zwykle, spędzoną w zeribie, i niemiłe spostrzeżenie, zrobione przez mych ludzi, że wody w dołkach nie przybywa; wyczerpaliśmy jej zapas, a w wykopanych świeżo jamkach nabiegło przez noc tylko tyle, ile *stricte* na potrzeby mych ludzi jest nieodzownem. Kucyka musiałem odesłać, bo dla niego wody zabrakło, a wielbłądy nie piły od Hodaju. Shikari, wysłani na zwiady do dżungli, powrócili, nie spotkawszy świeżych tropów; raportują, że około ścierwa ubitego wczoraj nosorożca ślady lampartów z ubiegłej nocy widoczne. Poleciałem zaraz drugą zeribę w tem miejscu zbudować.

W braku grubszej zwierzyny, wybrałem się ze śrutówką na dik-diki. Roi się dżungla od tych karlików antylopiego rodu, mniejszych od zająca, o ślicznych kształtach sarenki w miniaturze. Ubiłem sztuk cztery i zauważyłem, że są odmiennego gatunku od zabitych poprzednio w północnej części kraju; odznaczają się czubem gęstej sierści, między rostkami wyrastającej, i śmiesznie wydłużoną wierzchnią wargą, która jak u tapira na dolną szczękę zachodzi. W języku krajowców zwie się ta odmiana »gussuli« i co krok się je w dżungli spotyka, zazwyczaj parami, czasem trzy, najwyżej cztery razem. Przelękle wydają jakby świst donośny, którym nieraz grubszą zwierzynę alarmują.



Dik-dik

Gussuli zamieszkują południową część Ogadenu, ku północy i w Haudzie ich niema; zastępują je tam również karłowate antylopki, zwane po somalijsku »guju« i »golas« (*Madoqua Philippii* i *M. Swaynei*), które łącznie z gussuli zwą się po krajowemu sakkaro lub dik-dik. W Brehmie nie zdołałem odszukać opisu i łacińskiej nazwy gussuli, które dopiero przed kilku laty sklasyfikowali naturaliści angielscy pod nazwą *Madoqua Guentherii*.

Brak wody zmusza nas do odwrotu. Ludzie po jednej szklance brzydkiego płynu, który tu zwą wodą, dostali; do gotowania i herbaty dla mnie nie starczyło.

Z codziennej mojej porcy dwóch butelek Apollinaris'a musiałem dziś jedną Ferekowi odstąpić. Jakichś strasznie mizernych dwóch Ogadeńców przywlokło się z wieczora hen aż z nad Webi Shebeli; trudnią się zbieraniem gumy, szukają wody i idą do Farfanier, o ośm godzin marszu odległego, jedynie by pragnienie zaspokoić. Od 48-u godzin nie pili i łapczywie spożyli kubek czarnego płynu, który im nasi ludzie odstąpili. Miły kraj na stałe mieszkanie, gdzie za haustem wody czterdzieści ośm godzin iść potrzeba i nważać się za szczęśliwego, jeśli się jej wogóle dostanie.

11-go lutego.

Hrabia Coudenhove, po 17-u nocach bezskutecznie w zeribach spędzonych ośmnastej ubił cztery lwy, a strzelał do sześciu. Działo się to w Somalilandzie dwa lata temu, a opis tej nocy pamiętnej należy do najładniejszych kartek interesujących wspomnień myśliwskich z Somalilandu hr. Hoyos'a. Miałem nadzieję, że może i mnie noc ośmnasta szczęście przyniesie. Niestety! powiększyła tylko liczbę niendanych poprzecznych zasadzek.

Obrałem zeribę przy ścierwie nosorożca, zostawiwszy Fereka przy ośle nad jeziorkiem. Lampart przyszedł wcześniej i ścierwo pożerać zaczął, tak się jednak za cielkiem nosorożca ustawił, że go wcale zoczyć nie zdołałem. Najadłszy się, znikł w końcu, nie dawszy sposobności do strzału. Po północy doleciał mię huk dwóch strzałów Fereka — byłem pewny zrazu, że do lwa strzelał. Niepokoił mnie też ciągle nosorożec, który żerując snuł się po dżungli. Z trzaskiem łamał gałęzie, chrupał korzenie, sapał i fukał, i tak blisko podszedł do zeriby, iż się zdawało, że się otrze o nią. Zoczyć go jednak nie mogłem w cieniu nocy i zwartym gąszczu.

W obozie zastałem o świcie uszczęśliwionego Fereka nad ubitym lampartem; z emocyi z obu luf naraz wypalił i zabił zwierza na miejscu.

Wróciłem jeszcze z Osmanem na ślad nosorożca, słyszanego w nocy z zeriby, i tropiliśmy go do południa, lecz tak kręcił się w gąszczu po skalistym terenie, że dałem w końcu za wygraną i pośpieszyłem z powrotem do obozu, gdzie tabor spakowany i ludzie spragnieni, bez kropli wody od wczoraj, oczekiwali z niecierpliwością odwrotu do Hodaju.



taura Alikhara
nat: wirlik:
T+3-

15-go lutego.

W nocy nic się przy padle nie zjawilo i opuściwszy o świcie pamiętną dla mnie miejscowość wczorajszego spotkania, podążyłem w ślad za karawaną.

Po kilku godzinach marszu, ścieżka wyprowadziła mnie z dżungli na otwartą równinę, w rodzaju miejscowości stepowej, gdzie w przeszłym miesiącu polowaliśmy na antylopy. Gdzie niegdzie widać pojedyncze wysokie drzewa akacyi i mnóstwo olbrzymich kopców termitów, o fantastycznej budowie i kształtach. Miejscowość ta, w środku Handu położona, okolona pierścieniem ciennej dżungli, zwie się Dumbureli i jest ulubionem mieszkaniem mnogich stad antylop.

Dochodząc do obozu, rozbitego na kraju stepu w grupie drzew rośniejszych, zoczyłem zdaleka liczne stado aulów i równocześnie doleciał mnie huk strzałów Zamoyskiego, zwiastujący, że pogrom antylop znowu się rozpoczął.

Próbowałem podejść parę stad aulów i strzelałem kilkakrotnie, lecz dziwnie były ostrożne, na możliwy dystans zbliżyć się ku sobie nie pozwoliły, i nic nie zabiłem.

Na południe powrócił Zamoyski z trzema oryksami i tyluż aulami, z wieczornego zaś podchodu przyniósł znow dwa oryksy i trzy aule, istic świetny rozkład jednego dnia, z 5 oryksów i 6 aulów złożony. Trzy oryksy ubił udatnym trypletem; postrzelił nadto kilka sztuk i opowiada, że zwierzyny moc widział.

Lecz nie koniec na tem szczęścia Zamoyskiego!

Po pamiętnej nocy onegdajszej, nie spodziewałem się, że już nazajutrz będę mógł opisać wieczór, któremu zawdzięczamy najwspanialszą sztukę w ogólnym rezultacie całej wyprawy.

— Adio, Somaliland!
Coraz były dalej, coraz więcej błękitniały w przezroczej atmosferze, aż w końcu
znikły zupełnie...
Tam raj dla myśliwego, tam ziemia pełna uroku i czaru dla miłośnika przy-
rody i stref niezbadanych!

Antoniny, w lipcu 1897.



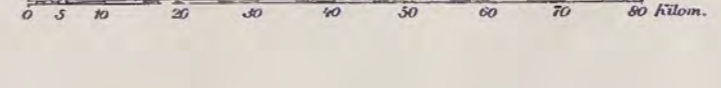


MARSZRUTA
 Hr. Józefa Potockiego
 i towarzyszków
W KRAJU SOMALISÓW

grudzien 1895 - marzec 1896.

Według mapy Prof. Paulitschke.

Podziatka 1:1000.000



- Znaki i określenie znaków:
- Marszruta hr. Józefa Potockiego i towarzyszków.
 - Droga powrotna J. Grudzińskiego.